

W połowie września wrócił Rysiek, pełen wrażeń i zachwy-
tów nad Norwegią. Zazdrościłam mu tego doświadczenia, tego,
że wyjechał za granicę, zobaczył trochę świata. Podziwiałam to,
że sam sobie wszystko zorganizował.

Tumult spowodowany powrotem taty i Ryśka oraz wir pra-
cy związanej z nauką, z meczami siatkówki i dawaniem kore-
petycji z angielskiego, którymi sobie od dwóch lat dorabia-
łam, sprawił, że przestałam myśleć o tym, co wydarzyło się na
obozie siatkarskim. Niestety, moje przeznaczenie znów dało
o sobie znać pod koniec października.

Jestem w moim pokoju, już głęboka noc, śpię.

*Nagle pisk opon, odgłos miazdzonej blachy, brzęk tłuczonego
szkła, syczenie, zgniatanie, rozdzierający krzyk.*

*Wszystko trwa sekundę, może krócej, ale to wystarczy, żebym
obudziła się złana potem, przerażona, dysząca. Słyszę tuż obok
siebie bulgot wydobywający się z gardła wypelnionego cieczą...
Wiem, że z gardła, bo wyraźnie słyszę, że ktoś usiłuje coś powie-
dzieć. I nie może. To musi być krew, bo nagle czuję jej obrzydliwy,
lepiący się zapach i ciepły, metaliczny smak. A może to nie smak
krwi? Może tak po prostu smakuje strach?*

*Trzęsę się. Siedzę na łóżku, naciągam kołdrę po sam czubek
głowy. Nie ruszam się. Nastuchuję. Staram się uspokoić oddech.
Drżą mi ręce. Mówię sobie, że to tylko koszmar, ale sama w to
nie wierzę.*

*Ktoś usiłuje krzyknąć, ale z ust wydobywa się tylko stłumiony,
bulgoczący dźwięk. Coś jak pęcherzyki powietrza rozbryzgujące
się o struny głosowe. Makabryczne. Dźwięk ten bezlitośnie wwier-
ca się w mój mózg, pomimo tego, iż zakrywam uszy. On nie przy-
chodzi gdzieś z zewnątrz... on jest w mojej głowie!*

*Jest mi za gorąco. Nie chcę wystawić poza kołdrę ani centy-
metra ciała, ale czuję, że coraz trudniej mi się oddycha. Pocę się,
włosy kleją mi się do czoła i do szyi. Nie, nie wyjdę. Boję się.*

*W głowie nadal słyszę ten chlupoczący głos. Zapamiętam go do
końca życia. Oddycham coraz łapczywiej, wrywając dla siebie
każdy haust powietrza.*

Cały czas z wnętrza mojej głowy dochodzi charczenie. Rośnie, puchnie, rozpycha się, zajmuje coraz większą powierzchnię pod moją czaszką.

– Boże drogi – szepczę. Zamykam oczy, zaciskam powieki jak najszczelniej i najmocniej. Czuję, że po policzkach lecą mi tzy, a po plecach krople potu. Nie wytrzymam tego!

Sptakana i spocona liczę do trzech i odrzucam kołdrę, nie wiedząc zupełnie, co ukaże się moim oczom. Biorę głęboki wdech. I nagle wszystko się urywa. Cisza. Nic się nie dzieje.

Mój pokój wygląda zupełnie normalnie. Jest spowity ciemnością, ale moje oczy są już do niej przyzwyczajone, widzę zatem całkiem wyraźnie kontury mebli, zarys drzwi, biurko.

Siadam na krawędzi łóżka, oddech powoli wraca do normy. Zsuwam nogi na podłogę. Patrzę na stojący na biurku budzik. Dochodzi druga w nocy.

Na plecach czuję zimno. Wilgotna od potu skóra schładza się. Patrzę na moje przedramiona i widzę na nich gęsią skórę. Czy tylko od chłodu?

Słyszę w oddali karetkę. Dźwięk narasta. Dołącza do niego syrena radiowozu. Obydwa pojazdy zatrzymują się niedaleko mojej kamienicy.

Jest mi teraz bardzo zimno. Z ust wydobywa się para. Temperatura w pokoju spada.

Patrzę w kierunku okna. Jest zamknięte. Wstaję. Czuję, że powinnam podejść i wyjrzeć na zewnątrz.

Zesztywniała podchodzę do parapetu. Drżącymi palcami przekręcam długi, plastikowy drążek od żaluzji.

Mam zupełnie suche usta i podniebienie. Oddałabym królestwo za szklankę wody!

Podnoszę żaluzję. Na ścianach mojego pokoju tańczą pulsujące bladoniebieskie światła radiowozu i karetki. Najpierw widzę dwa ambulanse. Poza ulicznymi latarniami koguty pojazdów są jedynymi źródłami światła na ulicy. Szybkim spojrzeniem ogarniam kamienice naokoło. Wszystkie okna ciemne. Czyżbym tylko ja słyszała, że coś się stało? Niemożliwe.

Biorę głęboki oddech, otwieram okno. Zalewa mnie chłodne powietrze. W innych okolicznościach uznałabym je za orzeźwiająca, ale temperatura w moim pokoju jest już bardzo niska. Chyba zaraz zamarznę.

Zastanawiam się, czy nie sięgnąć po sweter, ale jestem zbyt sparaliżowana, żeby się ruszyć. Trudno, wytrzymam.

Wyglądam przez okno. W okolicach Teatru Miejskiego zderzyły się dwa samochody, które zdają się być bardzo zniszczone. Jeden z nich ma zupełnie zmiażdżoną maskę, zgniecioną aż po prawie już nieistniejącą przednią szybę. Drugi stoi tyłem, nie widzę, jak bardzo jest uszkodzony. Na miejscu wypadku są już dwie karetki, jednostka straży pożarnej i dwa radiowozy. Pomimo późnej pory znalazło się kilku przechodniów, którzy z dystansu przyglądają się pracy policjantów i lekarzy.

Nie chcę już patrzeć na ten wypadek. Przed zamknięciem okna spoglądam odruchowo w dół. I NIERUCHOMIEJĘ. Moje ciało przeszywa prąd niczym dreszcz horroru. Zakrywam usta dłonią, bojąc się, że krzyknę i obudzę rodziców i Ryska.

Po ścianie mojej kamienicy ktoś się wspina! Widzę kształt, który niezdarne pełźnie pionowo w moim kierunku.

Serce znów zaczyna mi bić jak oszalone, ponownie cała drętwieję. Odsuwam rękę od ust; wiem już, że nie krzyknę. Nie drgnę. Tak się boję, że nie mogę.

Mam wrażenie od tego momentu, że wszystko dzieje się w spowolnionym tempie, a ja jestem tylko biernym obserwatorem. Znika cały świat wokół.

Postać wspina się równym tempem. Widok człowieka rozpościerającego ręce i nogi na podobieństwo pająka i pełzającego wzdłuż ściany budynku każdego by poraził. We mnie wywołuje mdłości. I budzi absolutną grozę.

Postać jest już na wysokości drugiego piętra. Widzę dokładniej lewą część jej ciała, prawą skrywa mrok nocy. Kobieta. Widzę połyskujący w świetle, wypastowany ciemny kozak sięgający kolana. Resztę nogi przykrywa gruba jesienna spódnica.

Oddycham szybko, myśli przetaczają mi się przez głowę z prędkością światła, czuję jak zaciskam kurczowo palce na klam-

ce okna. Ale go nie zamykam i nie odchodzę. Nie ruszam się. Nie mogę. Kręci mi się w głowie.

*Gdy postać jest w połowie drogi między drugim a trzecim pię-
trem, zdaje sobie sprawę, że przez rękaw jej swetra, przez dziurę
w nim, przedziera się biaława kość przedramienia. Porusza się
rytmicznie z każdym ruchem kobiety.*

*– Jezu Chryste... – szepczę, nie wiem, czy faktycznie, czy tyl-
ko w myślach. Słyszę mokry, krwisty, jakby ohydnie mlaskający
dźwięk przesuwania się kości po mięśniach i tkankach. I chrobot
na rozdartym swetrze.*

*Czuję skurcz żołądka i ślinę, która nabiega mi do gardła
w zbyt dużej ilości. Jakimś cudem nie wymiotuję. Zauważam, że
zbliżająca się do mnie postać zostawia po sobie na ścianie kamie-
nicy lśniący, lepki ślad. Krwi, najprawdopodobniej. Wszystko to
jest w równym stopniu odpychające i hipnotyzujące.*

*Postać dochodzi już do mojego piętra. Widzę jej palce zaci-
skające się na ramie mojego okna. Wykonuję szybko krok do tyłu.
Nieporadnie zaplątuję się w długą firankę, ale w końcu udaje mi
się stanąć na środku mojego pokoju.*

*Do wewnątrz wślizguje się kobieta. Stoi już naprzeciwko mnie.
Teraz widzę ją dokładniej.*

*Serce zaraz wyskoczy mi z klatki piersiowej. Staram się sku-
pić wzrok, który desperacko ucieka, nie chce koncentrować się na
tym, co widzi. Ale jednocześnie – jak mam się jej nie przyglądać?
Szybko rejestruję coraz to nowe detale.*

*Kobieta ma ciemne włosy, zlepione częściowo już zaschniętą
krwią, która najpewniej wydobywała się z rany na głowie. Jej czo-
ło i nos są pocięte, policzki opuchnięte, miednica i biodra dziwnie
wygięte i przesunięte.*

*Sweter na wysokości klatki piersiowej jest przesiąknięty krwią.
Kość wystająca z przedramienia dodaje jej jeszcze większej upior-
ności, bo wygina rękę kobiety w odrażająco nienaturalny sposób.
Nie mam wątpliwości: to jej samochód ma sprasowaną maskę
i doszczętnie wybitą przednią szybę. To ona zginęła w tym wy-
padku, jest jedyną ofiarą śmiertelną.*

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, że ona płacze. Moje osłupienie natychmiast ustępuje miejsca współczuciu. Dociera do mnie, że ofiara tego strasznego wypadku jest przerażona tym, że umiera (umarta?). Czy mam rozumieć, że przyszła do mnie po... pomoc? Po otuchę?!

Moje tętno zaczyna wracać do normy. Ciało powoli się ogrzewa. Wraca mi czucie w palcach, oddech nie tworzy już smug lodowatej pary. Nie drzę. Zdaję sobie sprawę że najgorsze jest za mną. Widzę ją, wiem kim jest, wydaje mi się, że wiem czego ode mnie chce. Podchodzę do niej ostrożnie. Mój strach i obrzydzenie znikają. Wyparowują w mrok nocy zagładającej do mojego pokoju. Tak – stojąca przede mną kobieta przyszła prosić mnie o pomoc. Wiem to na pewno. Rodzi się we mnie jeszcze trochę niejasna świadomość mojej roli.

Obejmuję ją delikatnie, przytulam. Czuję jak moja piżama nasiąka wilgocią jej swetra. Pojawia się przy tym chrzęst podobny do tego, jaki towarzyszy ręcznemu wykręcaniu mokrych ubrań. Ku swojemu zdziwieniu widzę, że mnie to nie zniechęca. Nie wywołuje w zasadzie żadnych emocji.

Jej cuchnące krwią włosy przyklejają się do mojego policzka i szyi. Zupełnie o to nie dbam. Kładę rękę na jej głowie, zaczynam ją czule gładzić, niczym matka, która uspokaja swoje dziecko. Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale całą sobą jestem z tą zupełnie nieznaną mi kobietą, która zaczyna teraz łkać nieco głośniejsze i która ścisną mnie mocno swoją niezłamaną ręką.

Z jej gardła wydobywa się to okropne charczenie i bulgotanie, to samo, przez któreomal nie oszalałam, ale było to jakby całą wieczność temu. Domyślam się, że musi mieć jakiś wewnętrzny krwotok, być może niejeden, że kto wie, czy nie utopiła się we własnej krwi... Jest przy tym wszystkim tak bardzo bezbronna, bezsilna i tak przerażona, że mam wrażenie, iż serce mi pęknie z żalu nad nią.

– Cii... – szepczę jej do ucha, szczerze zaskoczona swoim nagłym opanowaniem. – Nie bój się, zaraz nie będzie bolało, spokojnie...

Kobieta przytula mnie mocniej, wtula swoją twarz w dotek między moim obojczykiem a ramieniem.

– Jak się nazywasz? – pytam.

– Marta – odpowiada cicho bulgocząc, a ja czuję, jak cała w środku podskakuje słysząc jej głos. Niby do niej mówiłam, ale nie spodziewałam się odpowiedzi. Jestem zaskoczona, ale szybko opanowuję nerwy; mam tylko nadzieję, że ani Rysiek, ani rodzice niczego nie słyszą. Nie wyobrażam sobie, co by się działo, gdyby tu teraz weszli, zaniepokojeni jakimiś hałasami.

– Spokojnie, Marto.

Marta puszcza mnie i odsuwa się ode mnie. Zamieram. Przedem stoi na oko czterdziestoletnia kobieta, ze świeżo umyтыми, lekko kręconymi włosami sięgającymi ramion. W zupełnie czystym swetrze. Na jej twarzy nie ma śladów ran ani opuchlizny, ręka nie jest złamana. Wydaje się zupełnie nienaruszona.

Marta uśmiecha się do mnie lekko, a ja czuję, że nogi się podemną uginają. Cofam się, opieram o ścianę i osuwam na podłogę. Moje ciało znów drży. Jestem rozdygotana tym, co widzę, czego doświadczam, ale nie potrafię przestać na nią patrzeć. Mój mózg stara się wszystko przeanalizować, uporządkować, nadać temu wszystkiemu jakiś sens. Jeszcze dobrze nie pojmuję, co się wydarzyło i po co. Ale czuję. Czuję, że zrobiłam coś dobrego. Czuję, że zrobiłam to, co powinnam była zrobić. Czego ode mnie oczekiwano.

Zginam kolana pod brodą, kładę na nich głowę, jestem zmęczona. Czuję rozpędzający się, niczym sunący coraz szybciej po torach ciężki, towarowy pociąg, ból głowy. Chyba schodzi ze mnie stres i strach, to pewnie to. Przecieram oczy wierzchem dłoni i kieruję wzrok ku Marcie.

Już jej nie ma.

Nie wiem jak znalazłam się z powrotem w łóżku ani o której godzinie zasnęłam, ale gdy o wpół do siódmej zadzwonił budzik, ledwo udało mi się otworzyć oczy. Półprzytomna usiadłam na łóżku i ziewnęłam. Okrutnie bolała mnie głowa.